

J. HAWTHORNE.

Tragiczna tajemnica.

Z upoważnienia autora z angielskiego przełożył J. R.

10 (Ciąg dalszy).

Rozdenerwowana w najwyższym stopniu zapłatała się we własnej sukni i stanęła na pustej desce, która się zważyła, rozerwała kotarę i z trzaskiem spadła na ziemię. Cała przestrzeń poza zasłoną otwarła się zatem przed oczyma tłumów, zebranych w sali balowej.

Powstała nagle cisza, którą jednakże przerwał hałas, większy jeszcze niż poprzednio. Jedni krzyczeli, bo obawiali się jakiego nieszczęścia, drudzy drwili z nich i wyśmiewali się, inni wreszcie krzyczeli, że się nic nie stało; jednym słowem, tuż obok zasłony zaroilo się nagle od ludzi. Owi panowie w czerwonych dominach gdzieś się w jednej chwili rozprószyli, tak samo znikła gdzieś niespodziewanie owa tajemnicza czarna postać.

Dama w pomarańczowym domino skorzystała z zamieszania i wysunęła się przez boczne drzwi do przedsionka. Mężczyzna w białym kaftanie widział, w jakim poszła kierunku i chciał iść za nią, ale nie zdołał przebić się tak szybko przez tłum masek, od których się wokoło roilo. Zawrócił więc i koło ściany zaczął się przedzierać przez tłumy. Kiedy jednak wyszedł do przedsionka, nie zastał tam już ani śladu damy w pomarańczowym domino.

Linka — zaś, gdy tylko ujrzała się bezpieczną, odwróciła domino na drugą, niebieską stronę, nie potrzebowała się więc obawiać, że zostanie poznana. Z miss Desmond umówiła się już przedtem, że gdyby zaszedł jaki niespodziewany wypadek, to się z nią spotka w garderobie dla pań. Tam więc skierowała swoje kroki i ku swojej serdecznej uciesze, znalazła tam już pułkownikową.

Miss Desmond była, naturalnie, ogromnie wzruszona. Powiedziała naprzód Lince, że pułkownik znajduje się na sali. Ponieważ zaś obawiała się, że może wcześniej wrócić do domu, niż ona, nagliła więc, aby natychmiast powracać. Linka uspokajała ją, jak mogła, i zaraz obie opuściły gmach.

Zegary miejskie wydzwaniały właśnie północ. Równocześnie orkiestra dała znak do zdjęcia masek. Zabawa stała się jeszcze dziksza i hałaśliwsza, niż dawniej; niższe instynkty wzięły górę nad zwyczajną etykietą towarzyską i w olbrzymiej sali koncertowej zaczęły się orgie...

ROZDZIAŁ XIII.

W krzyżowym ogniu.

Na drugi dzień około godziny trzeciej po południu otrzymał inspektor Byrnes wiadomość, widocznie ogromnie ważną, bo natychmiast ubrał się i wyszedł z kancelarii.

Jak sobie Czytelnicy zapewne przypominają, śledztwo w sprawie srebrnej papierośnicy, tak energicznie przez Slimaka prowadzone, napotkało nagle na niespodziewaną przeszkodę. Slimak dowiedział się, że papierośnica została napewno zastawiona w lombardzie Sibleya, ale, zanim on się o tem dowiedział, ten sam człowiek, który ją zastawił, dzień przed tem ją wykupił. Mimo najenergiczniejszych starań, nie mógł więc Slimak ani na krok dalej postąpić.

Czytelnicy, mający lepsze wiadomości, od niego wiedzą już, że Robert Johnson był obecny przy zastawianiu papierośnicy, że z przyczyn jemu tylko wiadomych, sfalszował kwit zastawniczy, przebrał się i ucharakteryzował za pułkownika, wykupił ją i wyjął ukryty w niej kawałek pergaminu.

Nie można jednakże uważać Johnsona za pospolitego złodzieja. On miał wielkie i rzeczywiście daleko idące plany. Jakkolwiek papierośnica mogła mieć kolosalną wartość, to jednak nie można powiedzieć, aby ona sama była przedmiotem jego tajemniczej roboty. Fakt, iż pułkownik przywiązywał do niej ogromną wagę, podrażnił naprzód ciekawość Johnsona, znalezienie zaś w niej owego skrawka pergaminu zadowoliło go, jak się zdaje, w zupełności. Papierośnica była mu więc już teraz niepotrzebną, a nawet niebezpieczną, bo łatwo mogła komuś wpaść w oko. Johnson postanowił więc postanowił pozbyć się jej i to jak najprędzej.

Ale co z nią zrobić?

Po dłuższym namyśle zdecydował się ją powtórnie zastawić. Przecież nie można było wykluczać możliwości, że prawy jej właściciel ją wykupi. Początkowo miał zamiar zastawić ją w lombardzie Sibleya; ale to wydało mu się zanadto ry-

zykownem. Musiałby się jeszcze raz przebierać, a Sibley mógł przecież wpaść na myśl, że padł ofiarą oszustwa. Lombardów jednak w Nowym Jorku nie brak, udał się więc w dniu balu maskowego do jednego z nich, znajdującego się na ulicy Bowery.

Wszedłszy do biura zastawniczego, Johnson oddał papierośnicę subjektowi, stojącemu przy jednym z okienek. Subjekt oglądał ją bardzo szczegółowo, przypatrzył się uważnie zastawiającemu i cofnął się w głąb kantoru. Upłynęło kilka minut, aż Johnson z niecierpliwością zapukał do okienka, wołając:

— No, kiedyż się tam załatwicie!

Subjekt powrócił do okienka.

— Ileż mi panowie dacie na nią? — zapytał Johnson.

— Zaraz panu powiem, właśnie oddałem ją do oszacowania — brzmiała odpowiedź.

— Ale to trwa trochę za długo — odparł Johnson.

— Pan je właśnie obiad — ciągnął subjekt — w tej sekundzie powróci.

Upłynęło znowu kilka minut, a Johnson zniecierpliwił się już na dobre.

— Mój panie — zawołał ze złością — jeżeli szef pański ma czternaście dań na obiad, to ja mu nie myślę przeszkadzać. Ja nie mam czasu na czekanie. Daj mi pan papierośnicę, udam się do drugiego lombardu, gdzie więcej pilnują interesu, niż jedzenia.

— Jak się panu podoba — rzekł subjekt — ale szef mój w tej sekundzie nadejdzie. Właśnie, idzie już.

Odpowiedź ta wydała się Johnsonowi bardzo podejrzaną. Zawołał więc groźnie:

— Proszę mi natychmiast oddać papierośnicę. Czy pan zrozumiał?

— Dobrze — odparł drugi — niech pan będzie spokojny, zaraz ją pan dostaniesz — o, już jest.

W tej chwili wszedł do lombardu nowy gość. Porozumiał się oczyma ze subjektem, podszedł ku Johnsonowi, położył mu rękę na ramieniu i rzekł uprzejmie:

— Od dłuższego już czasu pragnąłem z panem pomówić. Może pan pozwoli ze mną, niedaleko, kawaleczek tylko.

Johnson odwrócił się do mówiącego. Był to mężczyzna o bardzo przyjemnej powierzchowności, najwyżej 40 lat liczący, silny i dobrze zbudowany. Poznał go w jednej chwili, chociaż nigdy przedtem osobiście z nim nie rozmawiał.

— Jeśli się nie mylę, to pan inspektor Byrnes — rzekł.

Inspektor skinął głową.

— Tak jest — odparł i dał znak subjektowi, który mu podał papierośnicę. — Tak, więc teraz jesteście gotowi — ciągnął dalej.

— Chciałbym się dowiedzieć, jaki pan ma do mnie interes — zapytał Johnson.

— Chodzi o drobnostkę, ale lepiej będzie, jeżeli się rozmówimy u mnie, w biurze. Proszę za mną!

Johnson wiedział bardzo dobrze, że wszelki opór nie miałby najmniejszego sensu. Inspektor wziął go pod rękę i za chwilę znaleźli się obaj w znanym już Czytelnikom gabinecie dyrektora tajnej policyi nowojorskiej przy ulicy Mulberry. Mister Byrnes usiadł przy biurku i zaczął indagację. Johnson odpowiadał jak następuje:

Nazywam się Robert Johnson. Mieszkam przy ulicy Pokoju na Jersey City. Jestem Anglikiem, do Ameryki przybyłem przed rokiem niespełna. Z zawodu jestem rytownikiem i pracuję w jednym z tutejszych zakładów.

Inspektor zanotowawszy sobie to wszystko, zagłębił się w myślach. Po chwili zapytał znowu:

— Znasz pan dużo ludzi w Nowym Jorku?

— Nie wielu — odparł Johnson — przeważnie tylko swoich towarzyszków i przełożonych w zakładzie. Na Jersey City mam też kilku znajomych.

— Jak się nazywa pańska gospodyni?

— Miss Pond.

— Jakże się pan tu bawi?

— Zwyczajnie chodzę do teatru. Czasami wychodzę na przechadzkę do Highbridge. Wczoraj byłem na balu maskowym.

— Dobrze się pan ubawił?

— Może za dobrze nawet.

— Kto jest dyrektorem zakładu, w którym pan pracuje?

— Pułkownik Hugo Desmond.

— Pan go zna?

— O tak, ja go znam i on mnie zna.

— W takim razie wszystko w porządku —

zauważył poważnie inspektor. Usiadł wygodnie na krześle i założył nogę na nogę. Potem zapytał znowu, jakby z prostej ciekawości:

— Z kim pan chodzi zwyczajnie do teatru?

Po raz pierwszy Johnson nie odpowiedział od razu. Ponieważ jednak widział, że wszelkie wykręty raczej mu zaszkodzić, aniżeli pomódz mogą, odrzekł z widoczną niechęcią:

— Najczęściej w towarzystwie młodej panny.

— Tak? Prawdopodobnie zająłeś się pan nią bliżej. Znać się już od dawna?

— Od czasu, jak mieszkam na Jersey City. Jest to córka mojej gospodyni.

— Więc pan z nią mieszka w jednym domu?

— Nie, ona jest damą do towarzystwa u jednej z pań nowojorskich.

— Aha! Jak się ta pani nazywa?

Johnson znowu zawahał się z odpowiedzią.

— Miss Desmond — rzekł wreszcie — żona mojego szefa. Panna Pond otrzymała to miejsce na moje polecenie.

— Rozumiem! to wszystko ładnie się składa — zauważył inspektor z odcieniem życzliwej uprzejmości w głosie. — W takim razie był pan wczoraj razem z nią na balu?

— Nie, to nie jest miejsce stosowne dla młodej panienki. Byłem sam tylko.

— Tak, tak, młody człowiek lubi czasem sam się zabawić. A na balu maskowym wesoło, można się doskonale bawić, zwłaszcza po północy. Musiał tam pan porobić różne znajomości.

— Tak jest, kilka. Starych znajomych nie spotkałem.

Inspektor odłożył ołówek na bok i powstał.

— Nie będę pana dłużej zatrzymywał, mister Johnson — rzekł — chciałem tylko prosić pana — ciągnął dalej, wyjąwszy papierośnicę z kieszeni — możeby mi pan powiedział, skąd pan przyszedłeś do posiadania tej rzeczy?

— Z całą przyjemnością — rzekł Johnson obojętnie — ale wiele panu nie będę mógł powiedzieć, bo sam nie wiem. Wczoraj wieczór ujrzałem ją po raz pierwszy.

— Znalazłeś ją pan na sali balowej, czy przy bufecie?

— Nie, to nie — rzekł Johnson. — Znalazłem ją dzisiaj rano i to w mojej własnej kieszeni. Z początku nie mogłem pojąć, skąd ona się tam wzięła, ale powoli przypominałem sobie wszystkie szczegóły. Upiłem się szampanem, bo nie jestem przyzwyczajony do picia. Tańczyłem dosyć dużo, bawiłem się z rozmaitymi ludźmi, których nawet nie znałem, bo wszyscy byli zamaskowani, więc nikt się nie przedstawiał współbawiacym się. Kiedy o północy dano hasło do zdjęcia masek, siedziałem w bufecie z trzema czy czterema panami. Jeden z nich mówił mi ciągle, że jest tak samo jak ja Anglikiem i koniecznie chciał mi na pamiątkę naszego poznania się ofiarować tę papierośnicę. Nie chciałem przyjąć, ale ostatecznie upór jego zwyciężył, bo zgodziłem się na jej przyjęcie, ale pod warunkiem, że ja za to zafunduję kolację. Dzisiaj rano znalazłem papierośnicę w kieszeni, ale równocześnie zrobiłem bardzo przykre odkrycie, że mam pugilares zupełnie próżny. Ponieważ na papierośnicy nie zależało mi zupełnie, postanowiłem ją więc bez żadnych skrupułów spieniężyć. Poszedłem więc do pierwszego lepszego lombardu, jaki spotkałem — no, koniec pan znasz.

— A toś się pan wesoło ubawił — rzekł inspektor z uśmiechem i dodał:

— Mógłby mi pan może podać rysopis człowieka, który panu dał papierośnicę?

Johnson spostrzegł się, że inspektor prawdopodobnie był już o wszystkim powiadomiony przez Sibleya, uważał więc za stosowne postępować według tego. Udając tedy, że zbiera myśli, odparł wreszcie:

— Jak on wyglądał, tego dokładnie nie pamiętam, nie mógłbym na to przysięgać. Jeżeli się nie mylę, to był on może o jakie dwadzieścia lat starszy odemnie. Twarz miał już pooraną zmarszczkami, o ile pamiętam, nosił także długą brodę.

— Żałuję bardzo — rzekł inspektor — że pana tak długo trzymałem. Nie mam podstaw, ani powodu do tego, żeby panu nie wierzył. Opowiadanie pańskie może mi oddać pewne ważne usługi. Bardzo możliwe, że pan je będzie musiał raz jeszcze powtórzyć. Tymczasem pozwoli pan, że papierośnicę ja zatrzymam u siebie, aż się czegoś bliższego o niej dowiem. Dla pana niema ona wartości, dla mnie zaś ogromną, a pan wiesz, że z małej iskry często wielki ogień powstaje.

Powstał na znak, że przesłuchanie skończone.

— Jestem do usług, panie inspektorze, i sta-